Isaac Asimov

Młodość

(Youth)

Space Science Fiction, May 1952
Ilustracje: Schecterson
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

© Public Domain
This text is translation of the novelette "Youth" by Isaac Asimov, published by Project Gutenberg, March 7, 2010 [EBook #31547]
According to the included copyright notice:
"This etext was produced from Space Science Fiction May 1952. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.



Rudzielec i Chudy pewnego poranka, po usłyszeniu odgłosów grzmotów, znaleźli dwa dziwne małe zwierzątka. Wiedzieli, że nie powinni pokazywać swoich nowych pupili rodzicom.

I

Deszcz kamyków zastukał w okno i chłopiec poruszył się przez sen. Po chwili kolejny, i już nie spał.

Usiadł na łóżku sztywno wyprostowany. Minęło kilka sekund, zanim zorientował się w otoczeniu. Nie znajdował się w swoim domu, to było oczywiste. Był gdzieś na wsi. Było chłodniej niż powinno, no i przez okno widać było zieleń.

– Chudy!

Ktoś zawołał go chrapliwym, pośpiesznym szeptem i chłopiec rzucił się do okna, aby je otworzyć.

Chudy, to nie było jego prawdziwe imię, ale nowy przyjaciel, którego poznał poprzedniego dnia, potrzebował tylko jednego spojrzenia na jego szczupłą postać, żeby powiedzieć:

– Ty jesteś Chudy. – Po chwili dodał jeszcze: – Ja nazywam się Rudzielec.

Rudzielec, z kolei, nie było jego prawdziwym imieniem, ale celność tego określenia, była oczywista. Natychmiast zostali przyjaciółmi, tą szybką, bezwarunkową przyjaźnią młodych ludzi, którzy nie do końca jeszcze weszli we wiek dojrzewania, zanim pierwsze skazy dorosłości, zaczęły sygnalizować swoją obecność.

Chudy zawołał:

– Cześć, Rudzielec! – i radośnie do niego pomachał, nadal ciągle mrugając oczyma, aby do końca wybić się ze snu.

Rudzielec pozostał przy swoim chrapliwym szepcie.

– Cicho! Chyba nie chcesz wszystkich pobudzić?

Chudy w jednej chwili zauważył, że słońce ledwie wzeszło ponad wierzchołki niskich wzgórz na wschodzie, cienie były długie i smukłe, zaś trawa wilgotna od rosy.

Chudy spytał, bardziej stonowanym głosem:

– O co chodzi?

Rudzielec tylko machnął na niego, żeby wyszedł na dwór.

Chudy błyskawicznie się ubrał i z ochotą ograniczył swoje poranne mycie do króciutkiego opryskania się, odrobiną letniej wody. Powietrze osuszyło odsłonięte części jego ciała, kiedy wybiegał na zewnątrz, ale po chwili i tak jego naga skóra zrobiła się zupełnie mokra, z powodu zroszonej trawy.

Rudzielec powiedział:

– Musimy być bardzo cicho. Jeśli obudzi się mama lub tata, albo twój tata, albo nawet któryś z robotników, to natychmiast będzie „Wracajcie zaraz do środka, bo przeziębicie się na śmierć".

Naśladował ten głos i ton tak wiernie, że Chudy aż śmiał się z całych sił, i pomyślał sobie, że nigdy jeszcze nie miał takiego zabawnego towarzysza, jak Rudzielec.

Chudy spytał go ochoczo:

– Rudzielec, czy wychodzisz z domu codziennie, tak rano jak dziś? Tak wcześnie? To tak jakby cały świat należał tylko do ciebie, co nie, Rudzielec? Nikt inny nie kręci się w pobliżu, i inne podobne sprawy. – Poczuł się dumny, ze przyjaciel pozwolił mu na wejście do swojego prywatnego świata.

Rudzielec spojrzał na niego bokiem. Potem beztrosko stwierdził:

– Jestem na nogach już od paru godzin. Czy nic nie słyszałeś ubiegłej nocy?

– A co miałem słyszeć?

– Grzmot.

– To w nocy była burza? – Chudy nigdy nie mógł spać w czasie burzy.

– Wydaje mi się, że nie. Ale było słychać grzmot. Usłyszałem go, a potem podszedłem do okna, ale nie padało. Widać było niemal wszystkie gwiazdy, a niebo dopiero zaczęło zmieniać się na leciutko szare. Wiesz o co mi chodzi?

Chudy nigdy czegoś takiego nie widział, ale skinął głową.

– A więc, pomyślałem sobie, że wyjdę na dwór – mówił dalej Rudzielec.

Szli porośniętym trawą poboczem betonowej drogi, która przecinała krajobraz przez sam środek, dopóki nie znikła w oddali, gdzieś między wzgórzami. Była taka stara, że nawet ojciec Rudzielca nie potrafił mu powiedzieć, kiedy została zbudowana. Nie było na niej jednak widać nawet jednego pęknięcia, ani wyrwy.

Rudzielec zapytał:

– Czy potrafisz dochować tajemnicy?

– Pewnie, Rudzielec. A co to za tajemnica?

– A, taka tam tajemnica. Może ci o niej powiem, a może nie. Jeszcze nie wiem.

Rudzielec odłamał długi, giętki odrost z paproci, obok której przechodzili, metodycznie obdarł go z listków i machnął tym co mu zostało w ręku, jak biczem. Na chwilę opanowała go dzika energia, która wzbierała i opadała, pod jego żelazną kontrolą. Potem poczuł się zmęczony, odrzucił bicz i odstawił doładowanie na bok, w sam kąt swojej wyobraźni, do ewentualnego użycia w przyszłości.

W końcu oznajmił:

– Ma być cyrk, tutaj w okolicy.

Chudy odparł:

– To żadna tajemnica. Wiedziałem o tym. Tata powiedział mi, zanim jeszcze nawet tutaj przyjechaliśmy…

– To nie jest tajemnica. Ładna by mi to była tajemnica! Czy widziałeś kiedyś cyrk?

– Och, pewnie. Założysz się?

– Lubisz go?

– Powiedzmy, że nie ma niczego, co bym lubił bardziej.

Rudzielec znowu popatrzył na niego kątem oka.

– Czy myślałeś sobie kiedyś, jakby to było wyruszyć razem z cyrkiem? To znaczy, czy by ci się to podobało?

Chudy zastanawiał się przez chwilę.

– Myślę, że nie. Wydaje mi się, że zostanę astronomem, jak mój tata. Myślę, że on chciałby, żebym był.

– Ha! Astronomem! – stwierdził Rudzielec.

Chudy poczuł, że drzwi nowego, prywatnego świata jego przyjaciela, zamykają się mu przed nosem, i nagle astronomia stała się czymś pełnym martwych gwiazd i ciemnej, pustej przestrzeni.

Powiedział więc pojednawczo:

– Cyrk *byłby* bardziej zabawny.

– Tylko tak mówisz.

– Nie, nieprawda. Naprawdę tak myślę.

Rudzielec nabrał ochoty na drążenie tematu.

– Przypuśćmy, że miałbyś szanse przyłączyć się do cyrku. Teraz, od razu. Co byś zrobił?

– Ja… ja…

– Widzisz! – Rudzielec dobił go pogardliwym śmiechem.

Chudy poczuł kolące żądło.

– Przyłączyłbym się!

– No, dalej.

– Wypróbuj mnie.

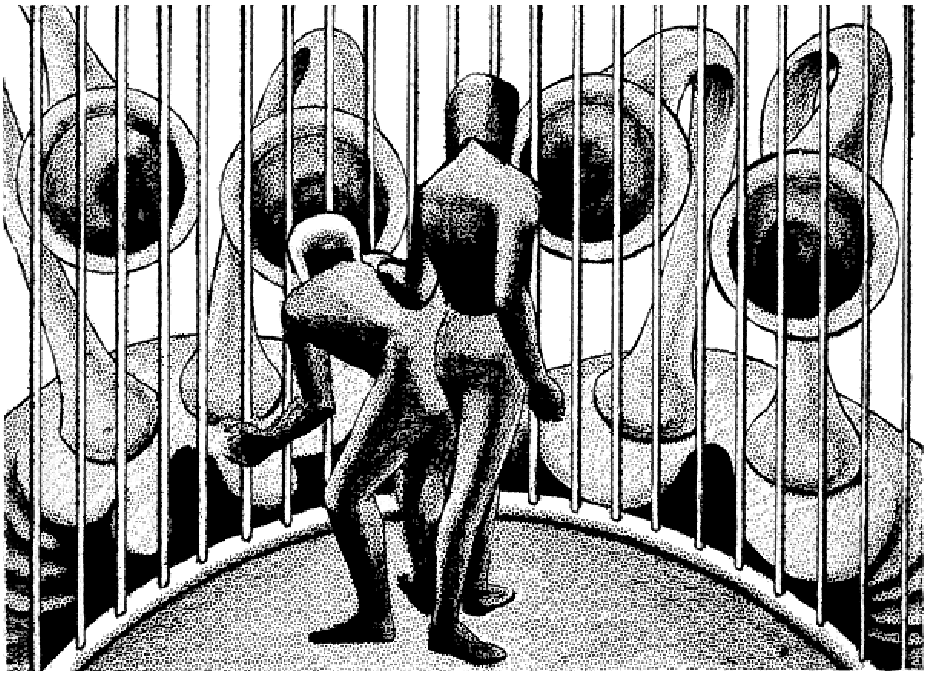
Rudzielec świdrował go wzrokiem, dziwnym i intensywnym.

– Naprawdę tak myślisz? Chciałbyś pojechać razem ze mną?

– Co przez to chciałeś powiedzieć? – Chudy lekko ustąpił, zaskoczony nieoczekiwanym wyzwaniem.

– Mam coś, co pozwoli nam dostać się do cyrku. Być może nawet pewnego dnia, będziemy mieli nasz własny cyrk. Moglibyśmy zostać

największymi cyrkowcami na świecie. To jest, jeżeli chcesz pojechać ze mną. Jeśli nie… No cóż, wydaje mi się, że mogę zrobić to samemu. Tylko tak sobie pomyślałem: Dajmy szansę staremu, dobremu Chudemu.



Świat był wspaniały i pewien dziwów, a Chudy powiedział:

– Pewnie, że chcę, Rudzielec. Wchodzę w to! Powiedz mi, co to jest?

– Sam pomyśl. Co jest najważniejsze w cyrkach?

Chudy rozpaczliwie szukał w myślach. Koniecznie chciał dać dobrą odpowiedź. W końcu powiedział:

– Akrobaci?

– Święte Dymy! Nie zrobiłbym nawet pięciu kroków, żeby popatrzeć na akrobatów.

– No to, nie wiem.

– Zwierzęta, to jest to! Jakie są najlepsze atrakcje? Co przyciąga największe tłumy? Nawet na głównych arenach, najlepsze pokazy, to pokazy ze zwierzętami! – W głosie Rudzielca nie było cienia wątpliwości.

– Tak myślisz?

– Wszyscy tak myślą. Spytaj kogo chcesz. W każdym razie, znalazłem dzisiaj rano zwierzęta. Dwie sztuki.

– I masz je?

– No pewnie. To jest właśnie ta tajemnica. Chyba nikomu nie powiesz?

– Oczywiście, że nie.

– Okej. Mam je w stodole. Chcesz je zobaczyć?

Byli tuż obok stodoły. Jej olbrzymie wrota, ziały czarną czeluścią. Za bardzo czarną. Przez cały czas kierowali się w ich stronę. Chudy zatrzymał się jak wryty.

Próbował, aby jego słowa zabrzmiały swobodnie:

– Czy one są duże?

– Myślisz, że byłbym na tyle głupi, żeby pakować się w to, gdyby były duże? Nie zrobią ci krzywdy. Poza tym, trzymam je w klatce.

Wkrótce znaleźli się w stodole i Chudy zobaczył dużą klatkę, zawieszoną na haku pod dachem. Była cała nakryta sztywnym płótnem.

Rudzielec wyjaśnił:

– Trzymaliśmy tam jakieś ptaki, czy coś takiego. W każdym razie nie dadzą rady stamtąd się wydostać. Chodź, wejdziemy na górę, na stryszek.

Weszli na górę, po drewnianych schodkach i Rudzielec zaczepił klatkę i przyciągnął ją w ich stronę.

Chudy wyciągnął rękę i pokazał:

– Tam w płótnie, jest jakaś dziura.

Rudzielec zmarszczył brwi.

– Jak ona mogła się tam zrobić? – Uniósł płótno, zajrzał do środka i powiedział z ulgą: – Są nadal w środku.

– Płótno zdaje się być wypalone – zaniepokoił się Chudy.

– Chcesz popatrzeć, czy nie?

Chudy powoli skinął głową. Pomimo wszystko, nie był tak do końca pewien, czy chce. One mogły być…

Ale płótno zostało już zerwane, a one były tam w środku. Dwójka, dokładnie tak, jak powiedział Rudzielec. Były małe, a ich wygląd był jakiś wstrętny. Po podniesieniu płótna zwierzęta szybko zerwały się i już były przy prętach, od strony chłopców. Rudzielec ostrożnie szturchnął palcem jedno z nich.

– Uważaj – ostrzegł go Chudy, umierając ze strachu.

– Nie zrobią ci krzywdy – powiedział Rudzielec. – Czy widziałeś kiedyś coś podobnego do nich?

– Nie.

– Czy nie rozumiesz, że każdy cyrk natychmiast skwapliwie skorzystałby z szansy ich posiadania?

– Mogą być trochę za małe, jak do cyrku.

Rudzielec wyglądał na nieco rozdrażnionego. Puścił klatkę, która zaczęła się kołysać w tą i z powrotem, jak wahadło.

– Chyba nie próbujesz teraz, tak po prostu się wycofać, co?

– Nie. Nie próbuję. To tylko…

– One nie są wcale za małe, nie bój się. W tej chwili, martwi mnie tylko jedno.

– Co takiego?

– No cóż, muszę je jakoś przetrzymać, dopóki nie przyjedzie cyrk, co nie? Trzeba więc wymyślić, czym je w międzyczasie karmić.

Klatka huśtała się, a małe, siedzące w środku stworzenia, złapały się jej prętów, gestykulując w stronę młodych ludzi, dziwnymi, szybkimi ruchami –– niemal tak, jakby były inteligentne.

II

Astronom wszedł do jadalni z zachowaniem wszystkich dobrych obyczajów. Czuł się niemal jak gość.

Spytał:

– A gdzie są dzieci? Mojego syna nie było w pokoju.

Przemysłowiec uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Już od paru godzin siedzą na dworze. Ale kobiety wmusiły w nich jakiś czas temu śniadanie, tak więc nie ma powodów do niepokoju. Młodość, drogi panie doktorze, młodość!

– Młodość! – To słowo zdawało się przygnębiać Astronoma.

Zjedli śniadanie w milczeniu. W końcu przemysłowiec przerwał panującą ciszę:

– Naprawdę myśli pan, że dzisiaj przylecą. Ten dzień wygląda tak… *normalnie*.

Astronom odparł krótko:

– Przylecą.

To było wszystko.

Nieco później, przemysłowiec oznajmił:

– Proszę mi wybaczyć. Nie wyobrażam sobie, aby mógł pan wymyślić coś aż tak skomplikowanego, tylko dla żartu. Naprawdę pan z nimi rozmawiał?

– Tak samo, jak rozmawiam z panem. A przynajmniej, w pewnym sensie. Oni umieją przekazywać myśli.

– Zrozumiałem, że tak musi być, z pańskiego listu. Zastanawiam się tylko, jak.

– Nie potrafię tego powiedzieć. Pytałem ich, oczywiście, ale odpowiadali bardzo mgliście. Albo być może, to tylko ja nie byłem w stanie zrozumieć ich wyjaśnień. Wymaga to specjalnego projektora, skupiającego myśli, a nawet bardziej niż tego, świadomej uwagi po obu stronach, zarówno nadawcy, jak i odbiorcy. Minęło sporo czasu, zanim w ogóle sobie uświadomiłem, że oni próbują do mnie myśleć. Takie projektory myśli, stanowią część ich wiedzy naukowej, którą nam przekażą.

– Być może – stwierdził Przemysłowiec. – Ale na razie, proszę pomyśleć o zmianach, jakie to by przyniosło naszemu społeczeństwu. Projektor myśli!

– A dlaczego nie? Taka zmiana byłaby dla nas całkiem dobra.

– Ja jestem nieco odmiennego zdania.

– To tylko dlatego, że w starszym wieku wszystkie zmiany są niemile widziane – powiedział Astronom, – a rasy mogą się starzeć w takim samym stopniu, jak pojedyncze osobniki.

Przemysłowiec wskazał ręką na okno.

– Widzi pan tę drogę? Została zbudowana w czasach Przedwojnia. Nawet nie wiem dokładnie, kiedy. Jest równie dobra, jak w dniu, w którym

ją zbudowano. Obecnie nie bylibyśmy w stanie jej powielić. Rasa pewnie była młoda, kiedy to budowano, co?

– Wtedy? Tak! A przynajmniej oni nie bali się nowych rzeczy.

– Nie. Ale ja osobiście wolałbym, żeby byli nieco inni. Gdzie jest społeczeństwo z Przedwojnia? Zniszczone, panie doktorze! Co dobrego przynoszą młodość i nowe rzeczy? Teraz jesteśmy dużo lepsi. Na świecie panuje pokój i życie powoli toczy się dalej. Rasa donikąd nie podąża, ale przede wszystkim, nie ma punktu, do którego należałoby podążać. *Oni* to udowodnili. Ci ludzie, którzy zbudowali tę drogę. Porozmawiam z pańskimi gośćmi, kiedy do nas przybędą, tak jak to obiecałem wcześniej. Ale wydaje mi się, że tylko poproszę ich, żeby stąd odlecieli.

– Nasza rasa wcale nie podąża donikąd – żarliwie oznajmił Astronom. – Podąża prosto w kierunku ostatecznej destrukcji. Na moim uniwersytecie każdego roku jest coraz mniej studentów. Pisze się coraz mniej książek. Coraz mniej się robi. Stary człowiek zasypia na słońcu, a jego dni są może spokojne i niezmienne, tylko że każdy z nich tak samo przybliża go do śmierci.

– No, no – stwierdził Przemysłowiec.

– Proszę, niech pan tego nie odrzuca. Niech pan posłucha. Zanim napisałem do pana, sprawdziłem pańską pozycję w planetarnej gospodarce.

– I stwierdził pan, że jestem wypłacalny? – przerwał mu Przemysłowiec, uśmiechając się.

– Dlaczego pan pyta, oczywiście że tak. Och, rozumiem, żartuje pan. A jednak… być może ten żart wcale nie jest taki daleki od prawdy. Jest pan mniej wypłacalny, niż pański ojciec, a on był również mniej wypłacalny od swojego ojca. Być może pański syn, już wypłacalny nie będzie. Naszej planecie sprawia zbyt wiele kłopotów, nawet utrzymywanie tych resztek przemysłu, jakie jeszcze istnieją, pomimo że są to zaledwie patyczki do zapałek w porównaniu z rosłymi dębami Przedwojnia. Wkrótce cofniemy się do gospodarki wiejskiej. Tylko co potem? Jaskinie?

– I pozyskanie nowej wiedzy technologicznej miałoby to wszystko zmienić?

– Nie chodzi tylko o samą wiedzę. Raczej o całościowy efekt zmiany. Związany z poszerzeniem horyzontów. Niech pan posłucha. Wybrałem pana, aby powierzyć panu tę sprawę, nie tylko dlatego, że jest pan bogaty i ma pan poważne wpływy w kręgach rządowych, ale przede wszystkim dlatego, że ma pan niezwykłą, jak na dzisiejsze czasy, reputację, człowieka który ośmiela się przełamywać tradycje. Nasi rodacy będą się opierać zmianom, a pan wie jak z nimi postępować, jak doprowadzić do tego… tego…

– Że odżyje młodość naszej rasy?

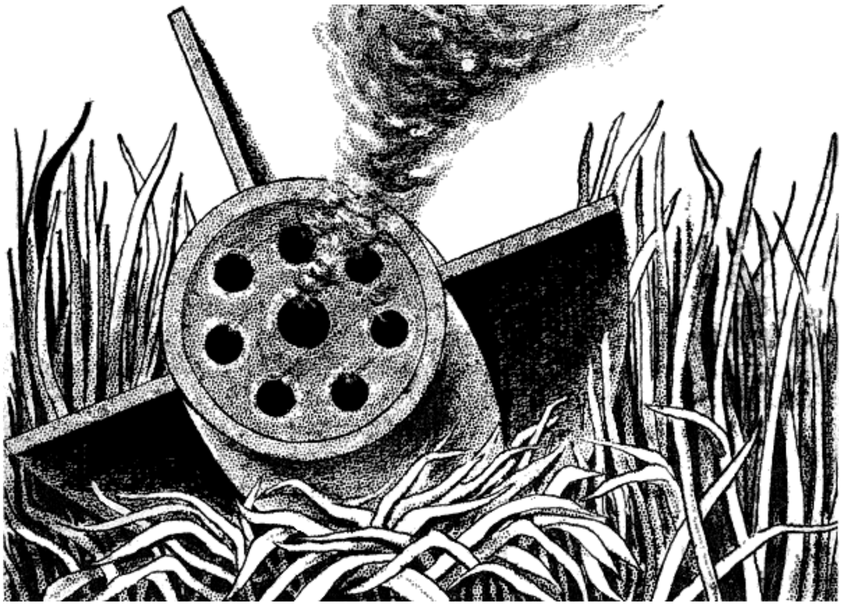
– Tak.

– Z jej bombami atomowymi?

– Bomby atomowe – replikował Astronom, – nie muszą wcale oznaczać końca cywilizacji. Ci moi goście mieli również swoje bomby atomowe, czy cokolwiek tam było ekwiwalentem tej broni, na ich rodzinnej planecie. A jednak przetrwali to, ponieważ się nie poddali. Czy pan tego nie rozumie?

To nie bomba nas pokonała, tylko nasze własne zasklepienie się w skorupie. To może być ostatnia szansa na odwrócenie tego procesu.

– Proszę mi powiedzieć – zapytał Przemysłowiec, – co ci pańscy przyjaciele z kosmosu, chcieliby w zamian?



Astronom zawahał się. W końcu odparł:

– Będę z panem szczery. Oni pochodzą z planety o większej gęstości. Nasza jest bogatsza w lżejsze atomy.

– Chcą więc magnezu? Aluminium?

– Nie, proszę pana. Węgla i wodoru. Chcą węgla i ropy naftowej.

– Naprawdę?

Astronom powiedział szybko:

– Pewnie ma pan zamiar zapytać, dlaczego stworzenia, które opanowały podróże kosmiczne, a więc także energię atomową, mogłyby potrzebować węgla i ropy naftowej. Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

Przemysłowiec uśmiechnął się.

– Ale ja potrafię. To najlepszy dowód prawdziwości pańskiej historii. Na pierwszy rzut oka energia atomowa powinna wykluczać dalsze korzystanie z węgla i ropy naftowej. A jednak, abstrahując zupełnie od energii uzyskiwanej z ich spalania, pozostają one, i zawsze pozostawać będą podstawowym surowcem dla chemii organicznej. Plastiki, farby, farmaceutyki, rozpuszczalniki. Przemysł nie mógłby bez nich istnieć, nawet w erze atomowej. Nadal jednak, nawet jeżeli węgiel i ropa naftowa stanowią dosyć niską cenę, to sprzedaliby nam za nią problemy i męczarnie młodości rasy. Moja odpowiedź brzmi, że ten towar byłby za drogi, nawet gdyby oferowali go nam za darmo.

Astronom westchnął ciężko i powiedział:

– Są chłopcy!

Widać było ich przez okno, jak stali razem na trawiastym polu, zatopieni w ożywionej konwersacji. Syn Przemysłowca wskazał na coś władczym gestem, a syn Astronoma skinął głową i puścił się biegiem w stronę domu.

Przemysłowiec powiedział:

– Oto jest ta młodość, o której pan mówi. Nasza rasa ma jej dokładnie tyle samo, ile zawsze.

– Ale każemy im szybko dojrzewać i urabiamy ich na własną modłę.

Chudy wpadł do pomieszczenia, z hukiem zamykających się za nim drzwi.

Astronom przywitał go, z łagodną dezaprobatą:

– A co to ma znaczyć?

Chudy uniósł głowę z zaskoczeniem i natychmiast się zatrzymał.

– Proszę o wybaczenie. Nie wiedziałem, ze ktoś tutaj jest. Bardzo mi przykro, że przeszkodziłem. – Sposób jego wyrażania się był niemal boleśnie precyzyjny.

Przemysłowiec uspokoił go:

– Wszystko w porządku, młody człowieku.

Astronom jednak zwrócił mu uwagę:

– Synu, nawet jeżeli wchodzisz do pustego pokoju, nie ma żadnego powodu, żeby trzaskać drzwiami.

– Nonsens – upierał się Przedsiębiorca. – Chłopiec nie zrobił żadnej szkody. Beszta go pan po prostu za bycie młodym. I to pan, z pańskimi poglądami!

Zwrócił się do Chudego:

– Podejdź tutaj, chłopcze.

Chudy powoi ruszył do przodu.

– Podoba ci się na wsi, co?

– Bardzo, proszę pana, dziękuję.

– Mój syn pokazuje ci to miejsce?

– Tak, proszę pana. Rudzielec… to jest chciałem powiedzieć…

– Nie, nie. Możesz mówić na niego Rudzielec. Ja sam go tak nazywam. A teraz, powiedz mi, co wy dwaj cały czas kombinujecie?

Chudy uciekł wzrokiem na bok.

– Dlaczego… po prostu buszujemy, proszę pana.

Przemysłowiec zwrócił się do Astronoma.

– Oto ma pan, młodzieńczą ciekawość i żądzę przygód. Nasza rasa wcale jej jeszcze nie utraciła.

Chudy odezwał się niepewnie:

– Proszę pana?

– Tak, chłopcze.

Młody człowiek milczał przez dłuższą chwilę, próbując zebrać się w sobie.

– Rudzielec przysłał mnie, żebym przyniósł coś dobrego do jedzenia, ale nie wiem dokładnie, co miał na myśli. Niechętnie zawracam panu tym głowę.

– Dlaczego, chłopcze, spytaj kucharki. Ona z pewnością znajdzie coś dobrego do jedzenia, dla młodych ludzi.

– Och, nie, proszę pana. Chodziło mi o coś dla zwierząt.

– Dla zwierząt?

– Tak, proszę pana. Co jedzą zwierzęta?

Astronom stwierdził:

– Obawiam się, że mój syn jest strasznym mieszczuchem.

– No cóż – odparł Przemysłowiec, – nie ma w tym nic złego. O jakiego rodzaju zwierzęta ci chodzi, chłopcze?

– Małe, proszę pana.

– A więc spróbuj trawy lub liści, a jeżeli nie będą tego chciały, to prawdopodobnie orzechy lub jagody załatwią sprawę.

– Dziękuję, proszę pana. – Chudy wybiegł z pokoju, tym razem zamykając delikatnie za sobą drzwi.

Astronom zaczął się zastanawiać.

– Nie wydaje się panu, że oni złapali coś żywego?

Widać było, że jest zaniepokojony.

– To zupełnie normalne. Na mojej posiadłości nie poluje się, tak więc to spokojne tereny, pełne na wpół oswojonych gryzoni i innych małych stworzeń. Rudzielec ciągle sprowadza do domu jakichś nowych pupili, tego czy innego rodzaju. Rzadko są one w stanie utrzymać jego zainteresowanie, przez dłuższy czas.

Popatrzył na zegar na ścianie.

– Pańscy przyjaciele powinni już do tej pory tutaj przybyć, nieprawdaż?

III

Kołysanie w końcu ustało, ale w środku panowała ciemność. Odkrywca nie czuł się zbyt dobrze oddychając obcym powietrzem. Wydawało mu się gęste jak zupa, tak że musiał oddychać bardzo płytko. Nawet pomimo tego…

Wyciągnął rękę, czując nagłą potrzebę towarzystwa. Skóra Kupca była ciepła w dotyku. Oddech miał chrapliwy, i od czasu do czasu wstrząsał nim sporadyczny spazm. Widać było, że usnął. Odkrywca zawahał się, ale postanowił go nie budzić. Nie było po temu żadnej faktycznej potrzeby.

Oczywiście, nie będzie żadnej wyprawy ratunkowej. Taka była cena wysokich zysków, które można było osiągnąć jedynie przy braku konkurencji. Kupiec, który otworzył nową planetę, otrzymywał dziesięcioletni monopol na handel z nią. Przywilej ten mógł zachować dla siebie samego, albo, co bardziej prawdopodobne, udzielać innym przybyszom, po określonej cenę. W wyniku tego, poszukiwania nowych planet objęte były ścisłą tajemnicą i prowadzone były najchętniej z dala od

zwykłych szlaków handlowych. Tak więc, w przypadkach podobnych do ich, była bardzo mała szansa, a w zasadzie żadnej, że jakiś inny statek pojawi się w zasięgu ich subeteryki, chyba że może jakimś niezwykle mało prawdopodobnym zbiegiem okoliczności. Nawet wtedy, gdyby chociaż byli na swoim statku, a nie w tej… tej… klatce.

Odkrywca chwycił za grube pręty. Gdyby nawet udało się je zniszczyć blasterem, tak jak mogli to zrobić, to i tak utknęli na zbyt dużej wysokości, aby można było stąd zeskoczyć.

Wyglądało to naprawdę źle. Wcześniej lądowali już tutaj dwa razy, statkiem zwiadowczym. Nawiązali kontakt z tubylcami, którzy byli groteskowo olbrzymi, ale łagodni i pozbawieni agresji. Oczywiste było, że kiedyś mieli kwitnącą cywilizację techniczną, ale nie byli w stanie stawić czoła konsekwencjom jej posiadania. Powinien więc być to wspaniały rynek.

A była to olbrzymia planeta. Szczególnie Kupiec był tym bardzo zaskoczony. Znali już wcześniej wartości określające średnicę i inne rozmiary tej planety, ale kiedy zbliżyli się na odległość dwóch sekund świetlnych, stał przy wizjo-płycie i mamrotał pod nosem:

– Niewiarygodne!

– Och, bywają też większe planety – skomentował to Odkrywca. Zbyt łatwe okazywanie, że jest się pod wrażeniem, nie przystało chłodnemu profesjonalizmowi jaki powinien cechować Odkrywcę.

– Zamieszkałe?

– No cóż… nie.

– Twoją planetę można by wrzucić do tego wielkiego oceanu i całkiem by w nim utonęła.

Odkrywca uśmiechnął się. To był delikatny przytyk do jego arkturiańskiej ojczyzny, która była mniejsza niż większość innych planet.

– Nie do końca – powiedział.

Kupiec zatopił się w myślach.

– A mieszkańcy są równie wielcy, jak ich planeta? – Zabrzmiało to tak, jakby ta wiadomość uderzyła go dopiero teraz, gasząc nieco entuzjazm.

– Są niemal dziesięć razy większi od nas.

– Pewny jesteś, że będą przyjaźni?

– To trudno powiedzieć. Przyjaźń między obcymi sobie istotami inteligentnymi, zawsze jest czymś bardzo niepewnym. Myślę jednak, że nie są niebezpieczni. Napotykaliśmy już wcześniej inne społeczeństwa, które nie potrafiły zachować równowagi, po stadium wojny atomowej, i sam znasz efekty. Introwersja. Wycofanie się. Stopniowa dekadencja i narastająca łagodność.

– Nawet pomimo tego, że oni są takimi potworami?

– Zasada nadal obowiązuje.

To mniej więcej wtedy Odkrywca poczuł ciężki łomot silników.

Zmarszczył brwi i powiedział:

– Schodzimy odrobinkę za szybko.

Parę godzin wcześniej, pojawiały się już pewne wątpliwości na temat niebezpieczeństw związanych z lądowaniem. Ich cel był olbrzymi, jak na planetę tlenowo-wodną. Chociaż miała ona mniejsze rozmiary od

gigantycznych globów wodorowo-amoniakalnych, a niska gęstość powodowała, że na powierzchni panowało niemal normalne przyciąganie, to jednak siła jej grawitacji dosyć powoli słabła wraz z odległością. Krótko mówiąc, potencjał grawitacyjny planety był wysoki, a kalkulator statku był modelem raczej przeciętnym, i nie był zaprojektowany do wyznaczenia trajektorii lądowania przy takich zakresach potencjałów. To oznaczało, że Pilot będzie musiał lądować na sterowaniu ręcznym.

Rozsądniej byłoby zainstalować model o wyższej mocy, ale to oznaczałoby podróż do jakiejś placówki cywilizacji, stratę czasu, być może także utratę tajemnicy. Kupiec domagał się natychmiastowego lądowania.

Kupiec poczuł więc, że teraz powinien bronić swojego stanowiska. Powiedział gniewnie do odkrywcy:

– Nie wydaje ci się, że Pilot zna się na swojej robocie? Wcześniej dwukrotnie już posadził nas bezpiecznie.

Tak, pomyślał sobie Odkrywca. Ale statkiem zwiadowczym, a nie tą trudną do manewrowania krypą, jaką jest transportowiec. Na głos jednak nic nie powiedział.

Utrzymywał przez cały spojrzenie na wizjo-płycie. Schodzili za szybko. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Zdecydowanie za szybko.

Kupiec rzucił zrzędliwie:

– Co tak przycichłeś?

– No cóż, jeśli już życzysz sobie, żebym coś powiedział, to chciałbym zasugerować, abyś przypiął się do swojego opadacza, i pomógł mi przygotować wyrzutnik.

Pilot stoczył wspaniałą walkę. Nie był jakimś nowicjuszem. Atmosfera, nienormalnie wysoka i gęsta w potencjale grawitacyjnym tej planety, płonęła wokół statku, chłostając jego poszycie, ale pomimo tego niemal do samego końca, wyglądało jakby pilot był w stanie utrzymać kontrolę nad lotem.

Zdołał nawet utrzymać kurs, trzymając się ekstrapolowanej linii, wskazującej na północny kontynent, w stronę którego się kierowali. W innych okolicznościach, przy odrobinę większym łucie szczęścia, cała ta historia mogłaby w końcu stać się wielokrotnie opowiadanym przykładem heroicznego i mistrzowskiego odwrócenia, beznadziejnej sytuacji. Ale mając już zwycięstwo w zasięgu wzroku, zmęczone ciało i zszargane nerwy ściągnęły drążek sterowniczy, z minimalnie zbyt dużą siłą. Statek, który niemal już wyrównał, ponownie zapikował w dół.

Nie było już miejsca, aby skorygować ten ostatni błąd. Pozostała tylko mila do ziemi. Pilot pozostał na swoim posterunku aż do faktycznego zderzenia się z powierzchnią, jego jedyną myślą, było złagodzenie siły uderzenia, zachowanie przez statek możliwości lotu w kosmosie. Nie przeżył. Przy statku wściekle rzucającym się w przypominającej zupę atmosferze, przygotowanych mogło zostać tylko kilka katapult, i to jedynie jedna z nich na raz.

Kiedy było już po wszystkim, a Odkrywca odzyskał przytomność i pozbierał się na nogi, miał zdecydowane poczucie, że poza nim samym i Kupcem, nikt inny nie ocalał. A być może nawet i to było nadmiernym optymizmem. Jego opadacz wypalił się, kiedy był jeszcze na tyle wysoko

nad powierzchnią, aby upadek go oszołomił. Kupiec mógł mieć przecież jeszcze mniej szczęścia niż on.

Otaczał go las grubych, lepkich łodyg trawy, a widoczne w oddali drzewa przypominały mu mgliście podobne twory z jego rodzinnej planety Arktura, poza tym, że ich dolne gałęzie znajdowały się powyżej wysokości wierzchołków normalnych dla niego drzew.

Zaczął wołać, a jego głos rozbrzmiewał w gęstym powietrzu basem. Kupiec mu odpowiedział. Odkrywca przedarł się do niego, przeciskając się gwałtownie przez zastawiające mu drogę grube łodygi.

– Jesteś ranny? – spytał go.

Kupiec skrzywił się.

– Coś sobie zwichnąłem. Bili mnie, kiedy próbuję chodzić.

Odkrywca zbadał delikatnie bolące miejsce.

– Nie wydaje mi się, żeby coś było złamane. Będziesz musiał iść, pomimo bólu.

– Nie możemy najpierw trochę odpocząć?

– Najważniejsze teraz, to spróbować znaleźć statek. Jeżeli jest zdolny do lotu, albo jeżeli da się go naprawić, to może przeżyjemy. W przeciwnym przypadku, nie.

– Tylko parę minut. Pozwól mi złapać odrobinę oddechu.

Odkrywca był również zadowolony z powodu tych kilku minut. Oczy Kupca już się zamknęły. On pozwolił sobie na to samo.

Usłyszał tupot nóg i natychmiast powieki mu się otworzyły. Nigdy nie śpij na obcej planecie, powiedział sobie za późno.

Kupiec również się obudził i jego nieustanny wrzask, przesiąknięty był zgrozą.

Odkrywca krzyknął do niego:

– To tylko tubylec z tej planety. Nie zrobi ci żadnej krzywdy!

Ale nawet już kiedy to mówił, olbrzym spadł na nich z góry i chwilę później znaleźli się w uścisku jego dłoni i byli unoszeni bliżej tej monstrualnej brzydoty.

Kupiec gwałtownie walczył z uściskiem, oczywiście, zupełnie nadaremnie.

– Nie możesz z nim porozmawiać? – wrzasnął.

Odkrywca mógł tylko pokręcić przecząco głową.

– Nie mogę dotrzeć do niego projektorem. Nie będzie słuchał.

– To użyj blastera! Zastrzel go!

– Nie możemy tego zrobić. – Słowa „ty głupcze", miał już niemal na języku. Odkrywca walczył o zachowanie swojej samokontroli. Wręcz połykali przestrzeń, kiedy potwór ruszył dalej, do jakiegoś celu.

– Dlaczego nie? – zawołał Kupiec. – Możesz dosięgnąć swojego blastera. Przecież widzę to wyraźnie. Chyba nie boisz się upadku?

– Sprawa jest dużo prostsza. Jeżeli ten potwór zostanie zabity, nigdy nie będziesz mógł handlować z tą planetą. Nigdy jej nawet nie opuścisz. Prawdopodobnie nie przeżyjesz kolejnego dnia.

– Dlaczego? Dlaczego?

– Ponieważ to jedno z młodych tego gatunku. Powinieneś zdawać sobie sprawę, co się stanie, jeżeli handlarz zabije młode tubylców, nawet

przypadkowo. Co więcej, to jesz nasz punkt docelowy, a więc jesteśmy na posiadłości tego potężnego tubylca. To może być któryś z jego potomków.

W taki właśnie sposób znaleźli się w swoim obecnym więzieniu. Ostrożnie wypalili wcześniej część grubej, sztywnej zasłony, i oczywiste było, że wysokość na której byli zawieszeni, należała do śmiertelnie niebezpiecznych.

Teraz, po raz kolejny, więzienna klatka zadrżała i poleciała łukiem do góry. Kupiec stoczył się do jej niżej położonej krawędzi i wystraszony od razu się obudził. Zasłona uniosła się i wnętrze zalało światło. Tak samo jak w poprzednim przypadku, pojawiły się dwa okazy młodych. Nie różniły się specjalnie wyglądem od dorosłych osobników tego gatunku, zastanawiał się Odkrywca, chociaż, oczywiście, byli znacznie mniejsi.

Między prętami klatki wepchnięta została garść zielonych trzciniastych łodyg. Ich zapach nie był niemiły, ale na ich końcach pełno było grud ziemi.

Kupiec odsunął się i chrapliwie zapytał:

– Co oni robią?

Odkrywca odparł:

– Jeżeli miałbym już wyrazić swoją opinię, to próbują nas nakarmić. To przynajmniej, wydaje się być tutejszym odpowiednikiem trawy.

Zasłona została ponownie naciągnięta, i znowu zaczęli się kołysać, pozostawieni sami, ze swoją paszą.

IV

Chudy wystraszył się na odgłos kroków, ale wyraźnie się odprężył, kiedy okazało się, że to tylko Rudzielec.

Powiedział do niego:

– Nikogo nie ma w pobliżu. Możesz być pewien, mam wszystko na oku.

Rudzielec odparł:

– Ćśśś… Słuchaj. Weź to i wsadź im do klatki. Muszę prześlizgnąć się z powrotem do domu.

– Co to jest? – Chudy wyciągnął rękę z niechęcią.

– Mielone mięso. Święte Dymy, czy ty nigdy nie widziałeś mielonego mięsa? To właśnie powinieneś przynieść, kiedy wysłałem cię do domu, a nie wracać tutaj z tą głupią trawą.

Chudy poczuł się urażony.

– Skąd miałem wiedzieć, że one nie jedzą trawy? Poza tym mielone mięso, nie nosi się tak luzem jak to. Zapakowane jest w celofan i ma zupełnie inny kolor.

– Pewnie –– w mieście. Tutaj, na wsi, sami je sobie mielimy, i zawsze ma taki kolor, kiedy nie jest usmażone.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że ono nie jest usmażone? – Chudy cofnął się odruchowo.

Rudzielec wyglądał na zniesmaczonego.

– Czy ty myślisz, że zwierzęta żywią się *smażonym* jedzeniem? No chodź, weź to. Nic ci nie zrobi. Mówiłem ci przecież, że nie mamy za dużo czasu.

– Dlaczego? Co tam w domu się dzieje?

– Nie wiem. Tata i twój ojciec kręcą się wszędzie. Myślę, że może to mnie szukają. Może kucharka powiedziała im, że wziąłem to mięso. W każdym razie, nie chcemy przecież, żeby szukając mnie przyszli tutaj.

– Nie spytałeś kucharki, zanim to wziąłeś?

– Kogo? Tej zrzędy? Nie zdziwiłbym się, gdyby nie pozwoliła mi nawet napić się wody, jeżeli Tata jej nie każe. No chodź. Bierz to.

Chudy wziął dużą kulę mięsa, chociaż skóra aż mu cierpła, kiedy go dotykał. Odwrócił się do stodoły, a Rudzielec popędził z powrotem, w kierunku, z którego przyszedł.

Zwolnił kiedy zbliżył się do dwójki dorosłych, wziął kilka głębszych oddechów, aby doprowadzić się do normalnego stanu, a potem nonszalancko ruszył w ich kierunku. (Jak zauważył, szli generalnie w stronę stodoły, ale nie prosto do niej.)

Powiedział do nich:

– Cześć, Tato. Dzień dobry panu.

Przemysłowiec zatrzymał go:

– Chwileczkę, Rudzielec. Mogę zadać ci jedno pytanie?

Rudzielec zwrócił starannie wystudiowaną twarz, w stronę ojca.

– Tak, Tato?

– Mama mówiła mi, że dzisiaj rano bardzo wcześnie wyszedłeś na dwór.

– Nie tak bardzo wcześnie, Tato. Tylko tuż przed śniadaniem.

– Powiedziała mi, że zgodnie z tym co jej mówiłeś, wstałeś tak wcześnie, ponieważ w nocy coś cię obudziło, i nie mogłeś już usnąć.

Rudzielec zastanawiał się chwilę, zanim odpowiedział. Czy rzeczywiście mówił o tym Mamie?

Potem odparł:

– Tak, Tato.

– Co więc cię obudziło?

Rudzielec nie dostrzegł w tym pytaniu żadnego zagrożenia. Powiedział więc:

– Nie wiem, Tato. To brzmiało po części jak grzmot, a po części jak odgłos zderzenia.

– Czy mógłbyś nam powiedzieć, skąd to dobiegało?

– To *brzmiało* tak, jakby dolatywało gdzieś od strony wzgórza. – Stwierdzenie to było jednoczenie prawdziwe, oraz bardzo użyteczne, ponieważ kierunek ten był niemal przeciwny to tego, w którym znajdowała się stodoła.

Przemysłowiec popatrzył na swojego gościa.

– Przypuszczam, że mały spacer w stronę wzgórza nam nie zaszkodzi.

Astronom poparł go:

– Jestem gotowy.

Rudzielec obserwował jak odchodzą, a kiedy się obejrzał, zobaczył Chudego zerkającego ostrożnie spomiędzy wrzośców żywopłotu.

Rudzielec kiwnął na niego ręką.

– Chodź!

Chudy wyszedł i podbiegł do niego.

– Czy mówili coś o mięsie?

– Nie. Myślę, że o nim nie wiedzą. Poszli w stronę wzgórza.

– Po co?

– Będą szukać. Wypytywali mnie o ten hałas, który słyszałem nad ranem. Słuchaj, czy zwierzęta jedzą to mięso?

– No cóż – ostrożnie wyjaśnił Chudy, – Tak jakby *przyglądały* się mu, wąchały je, czy coś podobnego.

– Okej – stwierdził Rudzielec. – Myślę, że będą je jadły. Święte Dymy, przecież one muszą *coś* jeść. Chodź, pójdziemy na wzgórze, i zobaczymy co Tata i twój ojciec będą tam robić.

– A co ze zwierzętami?

– Nic im nie będzie. Człowiek mógłby spędzić cały swój czas, zajmując się nimi. Czy dałeś im wodę?

– Pewnie. Piły ją.

– No widzisz. Chodźmy. Zajrzymy do nich po lunchu. I coś ci powiem. Przyniesiemy im jakiś owoc. Wszystko je owoce.

Razem potruchtali pod górę. Prowadził ich, jak zwykle, Rudzielec.

V

Astronom spytał:

– Czy myśli pan, że ten hałas spowodowało lądowanie ich statku?

– A panu nie wydaje się, że mogło?

– Jeżeli rzeczywiście tak było, to oni wszyscy mogli zginąć.

– Być może tak, być może nie. – Przemysłowiec zmarszczył brwi.

– Jeśli wylądowali, i ciągle żyją, to co się z nimi dzieje?

– Proszę przez chwilę nad tym pomyśleć. – Nadal marszczył brwi.

Astronom odparł:

– Nie rozumiem pana.

– Mogą nie mieć przyjacielskich zamiarów.

– Och, nie. Rozmawiałem z nimi. Oni…

– Tak, rozmawiał pan z nimi. Można to nazwać rekonesansem. Jaki może być ich następny krok? Inwazja?

– Ale przecież oni mają tylko jeden statek, proszę pana.

– To akurat wie pan tylko z ich słów. Równie dobrze mogą mieć całą flotę.

– Mówiłem panu przecież o ich rozmiarach. Ich…

– Ich rozmiary mogą nie mieć znaczenia. Na przykład jeżeli dysponują bronią ręczną, której siła może znacznie przekraczać naszą artylerię.

– Wcale nie to miałem na myśli.

– A ja od początku miałem to na myśli, przynajmniej częściowo. – Przemysłowiec szedł dalej. – I to właśnie dlatego, po otrzymaniu pańskiego listu, zdecydowałem się z nimi zobaczyć. Nie żeby zgodzić się na rozchwianie naszej cywilizacji i niemożliwą do zaakceptowania wymianę handlową, ale aby ocenić ich rzeczywiste cele. Nie brałem pod uwagę, że mogą unikać spotkania.

Westchnął.

– Myślę, że to nie pańska wina. W każdym razie, miał pan rację, co do jednej rzeczy. Ta planeta za długo doświadczała pokoju. Utraciliśmy nasze zdrowe uczucie podejrzliwości.

Łagodny głos astronoma uniósł się do niezwykłego dla niego stopnia emocji, kiedy zaprotestował:

– Teraz *ja powiem* panu kilka słów. Mówiłem panu, że nie ma żadnego powodu do tego, by przypuszczać, że przybysze mogą być wrodzy. Oni są mali, tak, ale to jest istotne jedynie z tego powodu, że ich rodzinne planety muszą być także małe. Siła ciężkości na naszej planecie jest dla nich w miarę normalna, ale z powodu znacznie wyższego potencjału grawitacyjnego, tutejsza atmosfera jest dla nich za gęsta, aby mogli nią swobodnie oddychać przez dłuższy czas. Z podobnych powodów nieekonomiczne jest wykorzystanie naszej planety, jako bazy dla handlu międzygwiezdnego, poza być może wymianą handlową pewnych określonych towarów. Ponadto z powodu podstawowych różnic w składzie gleby, istnieją istotne różnice w chemii naszych organizmów, Oni nie będą w stanie jeść naszej żywności, ani my ich.

– Z pewnością wszystko to można przezwyciężyć. Mogą dowozić tutaj swoje własne jedzenie, zbudować stacje pokryte kopułami, o niższym ciśnieniu powietrza, wymyślić specjalnie zaprojektowane statki.

– Tak, mogą. Swoją drogą, jak pan może tak swobodnie opisywać wspaniałe osiągnięcia, łatwe do realizacji przez rasę w dniach jej młodości. Jednakże prosto pokazać, że nie muszą robić niczego takiego. W Galaktyce istnieją miliony planet odpowiednich dla nich. Nie potrzebują więc naszej, która taka nie jest.

– A skąd pan to wie? Wszystkie te informacje, znowu pochodzą od nich.

– To akurat byłem w stanie zweryfikować w niezależny sposób. Pomimo wszystko, jestem przecież astronomem.

– To prawda. Słucham wobec tego, co mi pan ma do powiedzenia. Porozmawiajmy sobie, po drodze.

– Szanowny panie, proszę więc przyjąć do wiadomości, że już od dłuższego czasu nasi astronomowie uważają, że istnieją dwa rodzaje ciał planetarnych. Po pierwsze planety, które uformowały się w na tyle dużej

odległości od swojego zalążka gwiezdnego, że pozostały wystarczająco zimne, aby mogły wychwytywać wodór. W ten sposób powstają duże gazowe giganty, bogate w wodór, amoniak i metan. Przykładami takich obiektów, są nasze olbrzymie planety zewnętrzne. Druga kategoria, obejmuje planety uformowane na tyle blisko centrum gwiezdnego, że wysoka temperatura uniemożliwia im pozyskanie dodatkowego wodoru. Daje to w wyniku mniejsze planety, stosunkowo uboższe w wodór, a bogatsze w tlen. Znamy ten typ bardzo dobrze, ponieważ sami żyjemy na jednej z nich. Pamiętać jednak należy, że nasz układ słoneczny jest jedynym, jaki poznaliśmy szczegółowo, i przyjęte przez nas założenie, że istnieją *tylko* dwie klasy planetarne, należy uznać za całkowicie rozsądne.

– Domyślam się więc, że jest jeszcze jakaś.

– Tak. Istnieje również klasa obiektów super-gęstych, jeszcze mniejszych i uboższych w wodór, niż wewnętrzne planety naszego układu słonecznego. Współczynnik występowania planet wodorowo-amoniakalnych i tych ich super-gęstych planet wodorowo-tlenowych, w całej Galaktyce –– a proszę pamiętać, że oni przeprowadzili badania na próbach o znacznie większych rozmiarach, niż my jesteśmy w stanie to zrobić, nie posiadając podróży międzygwiezdnych –– wynosi 3 do 1. To daje im siedem milionów super-gęstych planet gotowych do eksploracji i kolonizacji.

Przemysłowiec popatrzył na niebieskie niebo i okryte zielenią drzewa, pomiędzy którymi wędrowali. Po chwili zapytał:

– A planety takie jak nasze?

Astronom odparł delikatnie:

– Nasz układ planetarny jest pierwszym jaki znaleźli, który taką posiada. Widocznie rozwój naszego układu słonecznego był wyjątkowy, i nie przebiegał zgodnie ze zwykłymi regułami.

Przemysłowiec rozmyślał nad usłyszanymi słowami.

– Czyli oznacza to w efekcie, że te stworzenia z kosmosu zamieszkują asteroidy.

– Nie, nie. Asteroidy są czymś jeszcze innym. Występują one, jak mi powiedziano w jednym układzie gwiezdnym na osiem, ale są obiektami zupełnie odmiennymi, od tych, o których dyskutowaliśmy wcześniej.

– I w jaki sposób to, że jest pan astronomem, zmienia fakt, że ciągle cytuje pan tylko ich niczym nie poparte stwierdzenia?

– Ale oni nie ograniczyli się wyłącznie do suchych informacji. Zaprezentowali mi teorię ewolucji gwiazd, którą musiałem zaakceptować, ponieważ była znacznie bardziej prawidłowa, niż wszystko, co była w stanie wymyślić nasza własna astronomia, jeśli wyłączymy ewentualne możliwe teorie datujące się z Przedwojnia. Proszę zrozumieć, że ich teoria miała ścisłe podstawy matematyczne, i przewidywała Galaktykę w dokładnie takim stanie, jak ją opisywali. Jak sam pan więc widzi, mają tyle planet do dyspozycji, ile sobie tylko zażyczą. Nie są więc głodni ziemi. A już z pewnością, nie naszej ziemi.

– Rozsądek mógłby tak mówić, jeżeli to, co pan mi powiedział jest prawdą. Ale mogą istnieć stworzenia inteligentne, ale nie rozsądne. Nasi przodkowie byli prawdopodobnie inteligentni, a jednak z pewnością nie

byli rozsądni. Czy rozsądne było zniszczenie niemal całej ich wspaniałej cywilizacji przy pomocy broni atomowej, z powodów których nasi historycy nie są w stanie nawet dokładnie ustalić? – Przedsiębiorca zadumał się nad tym. – Po zrzuceniu pierwszej bomby atomowej na te wyspy –– zapomniałem ich starożytnej nazwy –– wszystko zmierzało w jednym kierunku, i to w sposób ewidentny. A jednak pozwolono, aby wydarzenia podążyły w tym właśnie kierunku.

Uniósł wzrok i szybko powiedział:

– No dobrze, ale gdzie *myśmy* zaszli? Zastanawiam się jednak, czy pomimo wszystko nie wyszliśmy na głupców.

Astronom stał jednak parę kroków dalej, i jego głos zabrzmiał chrapliwie:

– Nie wydaje mi się, proszę pana. Proszę tam spojrzeć.

VI

Rudzielec i Chudy śledzili swoich rodziców, ze sprawnością młodości, wspomaganą przez zaabsorbowanie i niepokój ojców. Ich widok na końcowy przedmiot poszukiwań, był nieco przesłonięty przez zarośla, za którymi się chowali.

Rudzielec powiedział:

– Święte dymy. Popatrz tylko na to. To lśni całe jak srebro, albo coś podobnego.

Ale to Chudy był naprawdę podekscytowany. Zrozumiał coś innego.

– Wiem, co to jest. To statek kosmiczny. To musi być powód, dla którego mój ojciec tutaj przyjechał. Jest jednym z największych astronomów na świecie, i twój ojciec musiał go wezwać, kiedy na jego posiadłości wylądował statek kosmiczny.

– O czym ty mówisz? Tata nawet nie wiedział, że ta rzecz tutaj była. Przyszedł na wzgórze, ponieważ powiedziałem mu, że słyszałem stąd huk. Poza tym, nie ma przecież czegoś takiego, jak statki kosmiczne.

– Pewnie, że jest. Spójrz tylko na to. Widzisz te okrągłe rzeczy? To są porty widokowe. A tam są silniki rakietowe.

– A skąd ty tak dużo wiesz?

Chudy cały się zarumienił. Wyjaśnił:

– Czytałem o nich. Mój ojciec ma wiele książek na ich temat. Starych książek. Z Przedwojnia.

– Ha. Teraz już wiem, że zmyślasz. Książki z Przedwojnia!

– Mój ojciec *musi* je mieć. Uczy na Uniwersytecie. To jego praca.

Jego głos wyraźnie się uniósł, i Rudzielec musiał na niego wsiąść.

– Chcesz, żeby nas usłyszeli! – wyszeptał z oburzeniem.

– No dobrze, ale to jest statek kosmiczny.

– Popatrz, popatrz. Chudy, ty mi chcesz powiedzieć, że to jest statek z innej planety.

– *Musi* być. Zobacz tylko jak mój ojciec chodzi wokół niego. Nie byłby tym aż tak bardzo zainteresowany, gdyby to było cokolwiek innego.

– Inne planety! Gdzie są te inne planety?

– Wszędzie. O co ci chodzi z tymi planetami? To są światy podobne do naszego, a przynajmniej niektóre z nich. A inne gwiazdy prawdopodobnie też mają swoje planety. Istnieją prawdopodobnie miliardy planet.

Rudzielec był przytłoczony liczbami, które na niego się zwaliły. Wymruczał tylko:

– Kompletnie zwariowałeś!

– A więc, dobrze. Pokażę ci.

– Hej! Gdzie idziesz!

– Tam, do nich. Mam zamiar zapytać mojego ojca. Mam nadzieję, że uwierzysz, kiedy *on* ci powie. Mam nadzieję, że uwierzysz, że profesor astronomii wie…

Podniósł się na nogi.

Rudzielec powiedział:

– Hej, chyba nie chcesz, żeby oni nas zobaczyli. Nie powinno nas tutaj być. Czy chcesz, żeby zaczęli nas wypytywać i dowiedzieli się o naszych zwierzętach?

– Nic mnie to nie obchodzi. Powiedziałeś, że zwariowałem!

– Papla! Obiecałeś, że nic nie powiesz.

– I nie mam zamiaru niczego im powiedzieć. Ale jeśli sami się domyślą, to twoja wina, bo zacząłeś się kłócić i wyzywać mnie, że zwariowałem.

– No dobrze, cofam to – wyburczał Rudzielec.

– No cóż, w porządku. Teraz lepiej.

W pewnym sensie, Chudy był rozczarowany. Chciał zobaczyć statek kosmiczny z bliższej odległości. Pomimo wszystko jednak, nie mógł złamać swojej obietnicy zachowania tajemnicy, czy nawet jej ducha, bez co najmniej wymówki w postaci osobistej obrazy.

Rudzielec stwierdził:

– To jest strasznie małe jak na statek kosmiczny.

– Pewnie, ponieważ najprawdopodobniej to jest statek zwiadowczy.

– Założę się, że Tata nie mógłby nawet zmieścić się do tego starego pudła.

Chudy uświadomił sobie bardzo mocno, że to była prawda. To był słaby punkt w jego argumentacji, i nic na to nie odpowiedział. Jego uwaga była pochłonięta obserwacją dorosłych.

Rudzielec podniósł się na nogi. Biło z niego wystudiowane wrażenie nudy.

– No cóż, myślę że lepiej będzie, jak już sobie pójdziemy. Mamy sprawy do załatwienia, a ja nie mogę spędzić całego dnia, oglądając jakiś stary statek kosmiczny, czy cokolwiek by to nie było. Musimy zająć się naszymi zwierzętami, jeżeli chcemy przyłączyć się do cyrkowców. To jest pierwsza zasada, jaka obowiązuje cyrkowców, Muszą zajmować się swoimi

zwierzętami. A, w każdym razie – dokończył mężnie, – to jest to, co ja mam zamiar zrobić.

Chudy zaprotestował:

– Ale po co, Rudzielec? Przecież one mają mnóstwo mięsa. Zostańmy tutaj i popatrzmy.

– A co to za zabawa, tak siedzieć i się gapić. Poza tym Tata i twój ojciec już sobie stąd idą, i jak mi się wydaje mamy już mniej więcej porę na lunch.

Rudzielec nabrał ochoty do dyskusji.

– Posłuchaj, Chudy. Nie możemy zacząć zachowywać się podejrzanie, ponieważ zaraz zaczną nas wypytywać. Święte Dymy, czy ty nigdy nie czytałeś żadnych historii detektywistycznych? Kiedy próbujesz ubić jakiś wielki interes i nie chcesz, żeby cię przy tym złapano, to praktycznie najważniejszą rzeczą jest zachowywać się przez cały czas tak samo jak zawsze. Wtedy nikt nie będzie niczego podejrzewał. To jest pierwsza zasada…

– Och, dobrze, już dobrze.

Chudy podniósł się z niechęcią. W tej chwili cyrk wydawał się mu raczej tandetnym i pozbawionym gustu substytutem chwały astronomii, i zastanawiał się mocno, jak on w ogóle mógł wpakować się w ten głupi plan Rudzielca.

Kiedy szli w dół zbocza, Chudy, jak zwykle, wędrował z tyłu.

VII

Przemysłowiec wyznał:

– Najbardziej ujęło mnie mistrzostwo wykonania. Nigdy wcześniej nie widziałem takiej konstrukcji.

– I co nam teraz to da? – gorzko stwierdził Astronom. – Nic z tego nie zostało. Nie będzie drugiego lądowania. Ten statek wykrył życie na naszej planecie tylko czystym przypadkiem. Inne wyprawy badawcze, nie zbliżają się do nas bardziej, niż jest to niezbędne dla stwierdzenia, że w naszym układzie słonecznym nie ma żadnej super-gęstej planety.

– No cóż, nie ma najmniejszej wątpliwości, że rozbili się przy lądowaniu.

– Statek wydaje się być tylko nieznacznie uszkodzony. Gdyby chociaż niektórzy z nich przeżyli, to można by było go naprawić.

– Nawet jeżeli przeżyli, to w żadnym przypadku nie będziemy z nimi handlować. Oni są zbyt różni od nas. Za dużo kłopotów. Tak więc w każdym razie –– to i tak koniec.

Wrócili do domu i Przemysłowiec czule pozdrowił spotkaną żonę.

– Lunch pewnie już jest niemal gotowy, moja droga?

– Obawiam się, że nie. Widzisz… – Spojrzała z wahaniem na Astronoma.

– Czy coś jest nie tak? – spytał Przemysłowiec. – Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć? Jestem pewien, że nasz gość nie będzie zwracał uwagi na drobne dyskusje rodzinne.

– Błagam, proszę w ogóle się mną nie przejmować – wymamrotał Astronom. Odszedł z zażenowaniem w drugi koniec salonu.

Kobieta oznajmiła przyciszonym, pośpiesznym głosem:

– Naprawdę, mój drogi, to strasznie zdenerwowało kucharkę. Próbowałam ją udobruchać przez ostatnie kilka godzin, ale muszę szczerze powiedzieć, że nie wiem dlaczego Rudzielec to zrobił.

– Ale co on zrobił? – Przemysłowiec był raczej rozbawiony, niż rozgniewany. On sam wraz z synem, przez kilka ostatnich miesięcy podejmowali zgodne wysiłki, aby skłonić jego żonę do używania raczej określenia „Rudzielec”, niż absolutnie ośmieszającego, z punktu widzenia młodego człowieka, jego rzeczywistego imienia.

– Zabrał większość mielonego mięsa – powiedziała.

– I zjadł je?

– No cóż, mam nadzieję, że nie. Było surowe.

– A więc do czego mu ono było?

– Nie mam najmniejszego pojęcia. Nie widziałam go od czasu śniadania. W międzyczasie, kucharka dostała po prostu furii. Zauważyła go, jak znika w drzwiach kuchni, w której została po nim tylko całkowicie pusta miska na mielone mięso, a ona miała je wykorzystać do zrobienia lunchu. No cóż, znasz przecież kucharkę. Musiała zmienić menu na lunch, a to oznacza, że przez najbliższy tydzień, będzie zupełnie nie do zniesienia. Mój drogi, musisz porozmawiać z Rudzielcem i skłonić go do obietnicy, że już nigdy nie będzie robił takich rzeczy w kuchni. A nie zaszkodziłoby mu również, gdyby przeprosił kucharkę.

– Och, daj spokój, w końcu ona pracuje dla nas. Jeżeli więc my nie skarżymy się na zmianę w menu lunchu, to dlaczego ona miałaby to robić?

– Ponieważ to ona musiała zrobić podwójną pracę, i teraz mówi o odejściu. Niełatwo jest zdobyć dobrą kucharkę. Czy pamiętasz tę, która była przed nią?

To był mocny argument.

Przemysłowiec rozejrzał się dookoła z niepewną miną. W końcu powiedział:

– Chyba masz rację. Zdaje się, że nie ma go tutaj. Zaraz jak tylko przyjdzie, to z nim porozmawiam.

– Możesz już zacząć. Właśnie idzie.

Rudzielec wszedł do domu i wesoło oznajmił:

– Zdaje się, że czas na lunch. – Powiódł wzrokiem od jednego z rodziców do drugiego, szybko zauważając ich wbite w niego spojrzenia, i powiedział: – Najpierw jednak muszę trochę się umyć – i ruszył w stronę drzwi do łazienki.

Przemysłowiec zatrzymał go jednak:

– Jedną chwilkę, synu.

– Tak, tato?
– Gdzie jest twój mały przyjaciel?
Rudzielec beztrosko odparł:
– Gdzieś się tutaj kręci. Byliśmy właśnie na czymś w rodzaju spaceru i obejrzałem się, a jego tam nie było. – Była to absolutna prawda i Rudzielec czuł się tutaj na pewnym gruncie. – Powiedziałem mu, że jest czas na lunch. Dokładnie mówiłem „Wydaje mi się, że mamy już mniej więcej porę lunchu". A on odpowiedział „Tak". No i ja po prostu zaraz poszedłem, a potem, kiedy byłem nad potokiem, obejrzałem się do tyłu, i…
Astronom przerwał tę rozgadaną historię, unosząc głowę znad magazynu, który przeglądał nie widzącym wzrokiem.
– Nie martwiłbym się specjalnie o mojego syna. Całkiem nieźle potrafi sobie sam poradzić. Nie czekajmy z lunchem na niego.
– Lunch i tak nie jest jeszcze gotowy, panie doktorze. – Przemysłowiec ponownie skierował swoją uwagę na syna. – A jeżeli już o tym mówimy synu, to powodem tego opóźnienia jest fakt, że coś się stało z jednym z głównych składników. Czy masz mi coś do powiedzenia?
– Tato?
– Nie znoszę sytuacji, w której muszę wszystko literalnie wyjaśniać. Dlaczego zabrałeś mielone mięso?
– Mielone mięso?
– Mielone mięso. – Czekał cierpliwie.
Rudzielec zebrał się na odpowiedź.
– No cóż, to było coś w rodzaju…
– Głodu? – podpowiedział mu ojciec. – Surowego mięsa?
– Nie, tato. To było coś w rodzaju jego potrzeby.
– A dokładniej, do czego?
Rudzielec rozglądał się ponuro i nic nie mówił.
Ponownie wtrącił się Astronom.
– Jeżeli nie macie państwo nic przeciwko temu, chciałbym powiedzieć kilka słów… Czy pamięta pan jak zaraz po śniadaniu mój syn przyszedł zapytać, co jedzą zwierzęta?
– Och, ma pan rację. Jak mogłem być taki głupi, żeby o tym zapomnieć. Posłuchaj, Rudzielec, czy zabrałeś je dla zwierzątka, które znalazłeś?
Rudzielec z oburzenia aż odzyskał głos. Powiedział:
– Czy to znaczy, że Chudy przyszedł tutaj i powiedział, że mam zwierzę? Przyszedł tutaj i to powiedział? Powiedział, że mam zwierzę?
– Nie, nie zrobił tego. Pytał tylko po prostu, co jedzą zwierzęta. To wszystko. Tak więc, jeśli obiecał ci, że nikomu nie powie, to tego nie zrobił. To twoja własna głupota, kiedy spróbowałeś zabrać coś bez pozwolenia, spowodowała, że wszystko się wydało. Tak to już jest, kiedy się kradnie. A więc, czy masz jakieś zwierzę? Zadałem ci bezpośrednie pytanie.
– Tak, tato. – Był to szept tak cichy, że ledwie można było go usłyszeć.
– W porządku, będziesz musiał się go pozbyć. Czy zrozumiałeś?
W tym miejscu włączyła się matka Rudzielca.

– Rudzielec, czy mam przez to rozumieć, że trzymasz jakieś zwierzę mięsożerne? Przecież mogłoby cię ugryźć i zakazić ci krew!

– One są bardzo małe – z drżeniem powiedział Rudzielec. – Kiedy się je dotyka, to ledwie się poruszają.

– One? To ile ich masz?

– Dwa.

– A gdzie one są?

Przemysłowiec dotknął jej ręki.

– Nie strofuj już dłużej dziecka – powiedział półgłosem. – Jeżeli mówi, że się ich pozbędzie, to zrobi to, i będzie to zupełnie wystarczająca kara.

Wyrzucił całą tę sprawę ze swojej głowy.

VIII

Lunch był już na wpół ukończony, kiedy Chudy wpadł do jadalni. Przez chwilę stał zawstydzony, a potem oświadczył, niemal histerycznym tonem:

– Musze porozmawiać z Rudzielcem. Muszę mu coś powiedzieć.

Rudzielec uniósł głowę ze strachem, ale Astronom powiedział:

– Synu, twoje zachowanie wydaje się niezbyt uprzejme. Przeszkadzasz wszystkim w lunchu.

– Przepraszam, Ojcze.

– Och, proszę nie strofować chłopca – wzięła go w obronę żona Przemysłowca. – Jeżeli chce, może przecież porozmawiać z Rudzielcem, i nie spowoduje to żadnej szkody w lunchu.

– Muszę porozmawiać z Rudzielcem na osobności – nalegał Chudy.

– Teraz, to już naprawdę wystarczy – stwierdził Astronom, z charakterystyczną łagodnością, która w oczywisty sposób została użyta dla potrzeb obcych, i pod którą kryła się łatwo rozpoznawalna ostrość. – Proszę zająć swoje miejsce.

Chudy wykonał polecenie, ale jadł tylko wtedy, gdy ktoś bezpośrednio na niego popatrzył. Nawet wtedy robił to bez specjalnego zaangażowania.

Rudzielec pochwycił jego wzrok. Uformował ustami bezdźwięczne słowa:

– Czy zwierzęta wydostały się na wolność?

Chudy lekko pokręcił głową. Wyszeptał:

– Nie, to…

Astronom popatrzył na niego twardym wzrokiem i Chudy natychmiast przestał.

Kiedy lunch się skończył, Rudzielec wyślizgnął się z pokoju, mikroskopijnym gestem wzywając Chudego, żeby poszedł za nim.

W milczeniu powędrowali nad strumień.

Wtedy Rudzielec zwrócił się z wściekłością do swojego towarzysza:

– Posłuchaj, co to za pomysł, żeby mówić mojemu Tacie, że karmimy zwierzęta?

Chudy odparł:

– Nic takiego nie zrobiłem. Spytałem tylko czym się karmi zwierzęta. To nie to samo, co powiedzieć, że to robimy. Poza tym, jest coś innego o czym musimy porozmawiać, Rudzielec.

Ale Rudzielec nie skończył jeszcze swoich skarg.

– A w każdym razie, gdzie ty sobie polazłeś? Myślałem, że idziesz do domu. Zachowywali się tak, jakby to była moja wina, ze ciebie tam nie ma.

– Przecież właśnie o tym próbuję ci powiedzieć, jeżeli tylko *zamkniesz się* na sekundę i pozwolisz mi wyjaśnić. Nie dajesz człowiekowi żadnej szansy.

– A więc, proszę bardzo, mów, skoro masz tak dużo do powiedzenia.

– *Próbuję* to zrobić. Wróciłem do tego statku kosmicznego. Przecież nie było tam już żadnych ludzi, a ja chciałem zobaczyć, jak on dokładnie wygląda.

– To nie jest żaden statek kosmiczny – ponuro upierał się Rudzielec. Nie miał nic do stracenia.

– A ja ci mówię, że jest. Zaglądałem do środka. Można do niego zajrzeć przez porty, a ja zaglądałem do środka, i tam byli *martwi*. – Wyglądał jakby miał mdłości. – Oni byli martwi.

– *Kto* był martwy?

Chudy wręcz skrzeczał:

– Zwierzęta! Zwierzęta takie jak *nasze*! Tyle, że to *nie są* zwierzęta! To ludzkie istoty z innych planet.

Przez chwilę wydawało się, jakby Rudzielec zmienił się w kamień. Nawet mu nie przyszło do głowy, aby poddawać w wątpliwość prawdziwość słów Chudego. Chudy wyglądał jak prawdziwy posłaniec, przynoszący takie hiobowe wieści. W końcu tylko stwierdził:

– A niech to.

– No dobrze, ale co my teraz zrobimy? Człowieku, czy myślisz, że pogłaszczą nas po główkach, jeżeli się o tym dowiedzą? – Wyraźnie drżał.

– Lepiej wypuśćmy ich na wolność – powiedział Rudzielec.

– Oni powiedzą o nas.

– Nie umieją mówić naszym językiem. Nie, jeżeli są z innej planety.

– Tak, umieją. Przypominam, sobie jak mój ojciec wspominał o czymś takim w rozmowie z mamą, kiedy nie wiedział, że ja też byłem w pokoju. Mówił o gościach, którzy umieją z nim rozmawiać przez umysł. Telepatacja, czy jakoś tak. Myślałem, że to sobie wymyślił.

– No dobrze, Święte Dymy… To znaczy… Święte Dymy. – Rudzielec popatrzył w górę. – Powiem ci co zrobimy. Mój tata kazał mi się ich pozbyć. Powiedzmy, że gdzieś ich zakopiemy, albo wrzucimy ich do strumienia.

– On ci *powiedział*, żebyś to zrobił?

– Wyciągnął ze mnie, że mam zwierzęta, a potem powiedział mi „Pozbądź się ich". Muszę zrobić to, co mi powiedział. Święte Dymy, on jest moim Tatą.

Część paniki opuściła serce Chudego. To było absolutnie legalistyczne wyjście z tej sytuacji.

– No dobrze, a więc zróbmy to teraz, od razu, zanim się o tym dowiedzą. Och, człowieku, jeżeli oni się o tym dowiedzą, to będziemy w prawdziwych tarapatach!

Zerwali się biegiem w kierunku stodoły, z trudnymi do opisania wizjami w głowach.

IX

Spoglądanie na nich jakby byli to „ludzie", stanowiło zupełnie odmienne doświadczenie. Jako zwierzęta, obcy byli interesujący. Jako „ludzie", przerażający. Ich oczy, które przedtem były tylko neutralnymi małymi punkcikami, teraz zdawały się obserwować ich z jawną wrogością.

– Oni wydają z siebie jakieś odgłosy – wykrztusił z siebie Chudy szeptem, który ledwie dało się dosłyszeć.

– Przypuszczam, że rozmawiają, czy coś podobnego – odparł Rudzielec. To zabawne, że te odgłosy, które przecież już niejednokrotnie słyszeli, przedtem nie miały dla nich żadnego znaczenia. Nie był w stanie zrobić nawet kroku w ich stronę. Podobnie Chudy.

Płótno było zdjęte, ale tylko stali i patrzyli. Mielone mięso, jak zauważył Chudy, leżało zupełnie nietknięte.

Chudy powiedział w końcu:

– Czy nie powinieneś czegoś zrobić?

– A może ty?

– To ty ich znalazłeś.

– A więc teraz twoja kolej.

– Nie, nieprawda. Ty ich znalazłeś. Cała ta sprawa to twoja wina. Ja się im tylko przyglądałem.

– Włączyłeś się do tego, Chudy. Przecież wiesz, że tak było.

– Nie obchodzi mnie to. To ty ich znalazłeś, i właśnie tak powiem, kiedy przyjdą tutaj, żeby nas poszukać.

Rudzielec stwierdził:

– W porządku, niech ci będzie.

Tym niemniej jednak myśl o czekających ich konsekwencjach zainspirowała go i wyciągnął rękę w stronę drzwi od klatki.

– Czekaj – zawołał Chudy.

Rudzielec ucieszył się, że to usłyszał. Powiedział:

– A ciebie co teraz ugryzło?

– Jeden z nich ma przy sobie coś, co wygląda na żelazne.

– Gdzie?

– O, tutaj. Widziałem to już wcześniej, ale myślałem, że to jest po prostu jakaś jego część. Ale jeżeli on jest „człowiekiem”, to może to jakaś broń dezintegrująca.

– A co to takiego?

– Czytałem o tym w książkach z Przedwojnia. W większości ludzie ze statków kosmicznych mieli pistolety dezintegrujące. Wycelują nim tylko w twoją stronę, i jesteś zdezintegrowany.

– Jak do tej pory niczego w nas nie wycelowali – zauważył Rudzielec, chociaż jakoś bez specjalnego przekonania.

– Nie obchodzi mnie to. Nie mam zamiaru sterczeć tutaj i zostać zdezintegrowanym. Idę po mojego ojca.

– Tchórzliwy śmierdziel. Podły, tchórzliwy śmierdziel.

– Nic mnie to nie obchodzi. Możesz przezywać mnie jak tylko chcesz, ale jeżeli ich teraz zaczepisz, zostaniesz zdezintegrowany. Możesz sobie tutaj siedzieć, to zobaczysz, ale to będzie tylko i wyłącznie twoja wina.

Ruszył w stronę wąskich, spiralnych schodków, prowadzących na główne klepisko stodoły, ale zatrzymał się u ich szczytu, a potem cofnął się.

Na górę wchodziła matka Rudzielca, lekko posapując z wysiłku i uśmiechając się uprzejmie w stronę Chudego, jako do gościa.

– Rudzielec! Hej, Rudzielec! Jesteś tam na górze? Nie próbuj się teraz chować. Wiem, że to tutaj je trzymasz. Kucharka widziała gdzie pobiegłeś z mięsem.

Rudzielec zadrżał.

– Cześć, mamo!

– Pokażesz mi teraz te paskudne zwierzaki? Mam zamiar dopilnować, żebyś natychmiast ich się pozbył.

To był już koniec! Ale pomimo nadciągającego solidnego lania, Rudzielec poczuł że spada z niego jakiś ciężar. Przynajmniej decyzja nie spoczywała już w jego rękach.

– Tam są, mamo. Nic im nie zrobiłem, mamo. Ja nie wiedziałem. Oni po prostu wyglądali jak małe zwierzątka i pomyślałem sobie, że może pozwolisz mi je zatrzymać, mamo. Nie chciałem też wziąć mięsa, tylko że oni nie chcieli jeść trawy, ani liści, a my nie mogliśmy znaleźć żadnych dobrych orzechów lub jagód, a kucharka nigdy nie pozwalała mi wziąć niczego, o co ją prosiłem, a ja nie wiedziałem, że ono było na lunch i…

Wyrzucał z siebie słowa z szybkością czystego strachu i nawet sobie nie uświadamiał, że jego matka wcale go nie słucha, tylko wpatruje się jak skamieniała w klatkę i wrzeszczy cienkim, przeszywającym głosem.

X

– Cichy pogrzeb, to wszystko co możemy zrobić. Nie ma sensu nadawać sprawie żadnego rozgłosu – powiedział właśnie Astronom, kiedy usłyszeli krzyki.

Do czasu, kiedy dotarli do niej biegiem, nie zdążyła jeszcze do końca ochłonąć. Trzeba było kilku minut, zanim mąż zdołał wyciągnąć z niej coś sensownego.

W końcu oznajmiła:

– Mówię ci, że one są w stodole. Nie wiem, czym one są. Nie, nie…

Powstrzymała szybki ruch Przemysłowca we wskazanym kierunku. Powiedziała do niego:

– *Ty* tam nie chodź. Wyślij jednego z robotników z dubeltówką. Mówię ci, że nigdy jeszcze nie widziałam czegoś takiego. Małe straszliwe bestie z… z… nie potrafię tego opisać. I pomyśleć, że Rudzielec je dotykał i próbował je karmić. On je *trzymał w ręku* i karmił je mięsem.

Rudzielec zaczął:

– Ja tylko…

Wtórował mu Chudy:

– Ja nie wiedziałem…

Przemysłowiec szybko im przerwał:

– Wydaje się, że wy chłopcy, wyrządziliście już dzisiaj wystarczająco szkód. Marsz! Do domu! I ani słowa! Ani jednego słowa! Nie jestem zainteresowany niczym, co macie mi do powiedzenia. Po tym, jak to wszystko się skończy, wysłucham was, a co do ciebie, Rudzielec, dopilnuję, żeby nie minęła cię odpowiednia kara!

Zwrócił się do swojej żony:

– Teraz, czymkolwiek by te zwierzaki nie były, zaraz je zabijemy. – Kiedy chłopcy znaleźli się poza zasięgiem słuchu, dodał jeszcze ściszonym głosem. – Spokojnie, spokojnie. Dzieciom nic się nie stało, a przecież w końcu nie zrobiły nic naprawdę strasznego. Znaleźli sobie tylko jakieś nowe zwierzaki do zabawy.

Astronom odezwał się z wyraźnym trudem:

– Bardzo panią przepraszam, ale czy mogłaby pani jakoś opisać te zwierzęta?

Pokręciła przecząco głową. Nie była w stanie wykrztusić nawet słowa.

– Czy nie mogłaby mi pani tylko powiedzieć, czy…

– Bardzo mi przykro – oznajmił Przemysłowiec przepraszającym tonem, – ale myślę, że lepiej będzie, jeśli zajmę się moją żoną. Czy mógłby mi pan wybaczyć?

– Jedną chwilę. Proszę bardzo. Naprawdę chwilę. Pani powiedziała, że nigdy wcześniej nie widziała takich zwierząt. Z pewnością na tak dużej posiadłości jak ta, znalezienie zwierząt, które są zupełnie nieznane, nie jest czymś normalnym.

– Bardzo mi przykro. Zostawmy teraz ten temat.

– Chyba że te niezwykłe zwierzęta wylądowały ubiegłej nocy.

Przemysłowiec zrobił krok od żony.
– Co pan sugeruje?
– Myślę, że lepiej będzie, jeśli pójdziemy do tej stodoły, proszę pana!
Przemysłowiec przez chwilę wpatrywał się w niego, a potem odwrócił się i nagle, w zupełnie niecharakterystyczny dla siebie sposób, ruszył biegiem. Astronom podążył za nim, a za nimi unosił się zignorowany płacz kobiety.

XI

Przemysłowiec przypatrywał się, spojrzał na Astronoma, i znów zaczął się przypatrywać.
– To oni?
– Oni – potwierdził Astronom. – Nie mam wątpliwości, że my również wydajemy im się obcy i odpychający.
– A co oni mówią?
– Tylko to, że jest im tu trochę niewygodnie, są zmęczeni, a nawet nieco chorzy, ale nie są poważnie ranni i że dzieci potraktowały ich dobrze.
– Potraktowały ich dobrze! Złapały ich, trzymały ich w klatce, dając im trawę i surowe mięso do jedzenia? Proszę mi powiedzieć, jak z nimi porozmawiać?
– To może zająć nieco czasu. Proszę do nich myśleć. Spróbować się wsłuchać. Dojdzie pan do tego, tylko być może nie od razu.
Przemysłowiec spróbował. Aż się wykrzywił z wysiłku, próbując nieustannie, w kółko myśleć:
– Dzieci nie zdawały sobie sprawy z waszej tożsamości.
I nagle w jego głowie pojawiła się myśl:
– Jesteśmy tego w pełni świadomi, i ponieważ wiedzieliśmy, że one chciały dobrze, zgodnie z ich ówczesnym spojrzeniem na całą sprawę, nie próbowaliśmy ich zaatakować.
– Zaatakować ich? – pomyślał Przemysłowiec, tak skoncentrowany, że jednoczenie mimowolnie wypowiedział te słowa na głos.
– No, tak – nadeszła w odpowiedzi myśl. – Jesteśmy uzbrojeni.
Jedno z odrażających stworzeń w klatce uniosło jakiś metalowy przedmiot i nagle u góry klatki i w dachu stodoły, pojawiły się dziury, otoczone krążkiem wypalonego drewna.
– Mamy nadzieję – pomyślało stworzenie, – że naprawy nie będą zbyt skomplikowane.
Przemysłowiec stwierdził, że nie jest w stanie skupić się na tyle, by uporządkować swoje myśli. Zwrócił się do Astronoma:

– I przy tej broni, która jest w ich posiadaniu, pozwolili się złapać i wsadzić do klatki? Nie rozumiem tego.

Ale w odpowiedzi nadeszła spokojna myśl:

– Nie moglibyśmy przecież skrzywdzić dzieci istot inteligentnych.

XII

Nadchodził świt. Przemysłowiec zupełnie zapomniał o wieczornym posiłku i był tego faktu całkowicie nieświadomy.

Powiedział:

– Czy naprawdę myśli pan, że ten statek jeszcze poleci?

– Jeżeli oni tak mówią – odparł Astronom, – to jestem pewien, że tak. Mam nadzieję, że wrócą dosyć szybko.

– I kiedy to zrobią, – energicznie oznajmił Przemysłowiec, – dotrzymam mojej części umowy. Co więcej, poruszę niebo i ziemię, żeby świat ich zaakceptował. Zupełnie się myliłem, panie doktorze. Stworzenia, które nie zgadzają się na krzywdzenie dzieci, pomimo takiej prowokacji, jaka ich spotkała, są wspaniałe. Ale wie pan… Mówię to niemal z niechęcią…

– Co takiego?

– Chłopcy. Pański i mój. Jestem z nich niemal dumny. Proszę sobie wyobrazić złapali te stworzenia, karmili je, albo próbowali to zrobić i trzymali je w ukryciu. I ten zdumiewający cel tego wszystkiego. Rudzielec powiedział mi, że to był pomysł na zdobycie pracy w cyrku, o własnych siłach. Proszę sobie to wyobrazić!

Astronom odparł:

– Młodość!

XIII

Kupiec spytał:

– Kiedy startujemy?

– Za pół godziny – odparł Odkrywca.

To miała być bardzo samotna droga z powrotem. Pozostałych siedemnastu członków załogi zginęło, a ich prochy pozostały na obcej

planecie. Będą lecieć do domu uszkodzonym statkiem, i cały ciężar pracy przy sterach, spadnie tylko na jego barki.

Kupiec stwierdził:

– To był dobry chwyt biznesowy, żeby nie robić krzywdy tym dzieciom. Uzyskamy dobre warunki. *Naprawdę* dobre warunki.

Odkrywca pomyślał tylko: „Biznes!”.

Kupiec mówił dalej:

– Ustawili się całymi rzędami, żeby zobaczyć jak odlatujemy. Wszyscy. Nie są czasami za blisko, jak myślisz? Byłoby źle, gdybyśmy spalili kogoś odrzutem rakiet, na tym etapie gry.

– Z pewnością są bezpieczni.

– Okropnie wyglądające stworzenia, co nie?

– Ale w środku zupełnie sympatyczne. Ich myśli były absolutnie przyjacielskie.

– Trudno w to uwierzyć, na ich widok. Ten mały, ten który podniósł nas jako pierwszy…

– Nazywają go Rudzielec – podpowiedział Odkrywca.

– Co za dziwne imię dla potwora. Naprawdę mnie rozśmieszył. On faktycznie czuje się *źle*, ponieważ odlatujemy. Tylko nie mogę dokładnie zrozumieć, dlaczego. Najbliższe, co mogę wyłapać, to coś o straconej okazji, w związku z jakąś organizacją, czy czymś czego nie potrafię tak do końca zinterpretować.

– Cyrk – krótko stwierdził Odkrywca.

– Co? Co za impertynenckie monstrum.

– A dlaczego nie? Co ty byś zrobił, gdybyś znalazł *go* na *twojej* rodzinnej planecie, śpiącego na jakimś polu na Ziemi, z tymi rudymi mackami, sześcioma nogami, nibynóżkami i całą resztą?

XIV

Rudzielec przyglądał się, jak statek odlatuje. Jego rude macki, którym zawdzięczał swoje przezwisko, do ostatniej chwili aż drżały z żalu nad utraconą okazją, a oczy na ich koniuszkach wypełnione były unoszącymi się żółtawymi kryształkami, będącymi odpowiednikiem ziemskich łez.

KONIEC